

Il. 2. 480. 924

WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1994

**MOJE STRONY
ŚWIATA**

BIBLIOTEKA „KULTURY»
TOM 485

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0153-3
ISBN 83-85521-32-1

IMPRIMÉ EN POLOGNE

Editeur: INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi
par 78600 MAISON-LAFFITTE
En coédition avec l'édition
„POMOST” VARSOVIE

WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1994

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001017373942

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECE « KULTURY »

Milczenie, 1959

Wybór wierszy, 1965

(Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1964)

Ciemny czas 1968



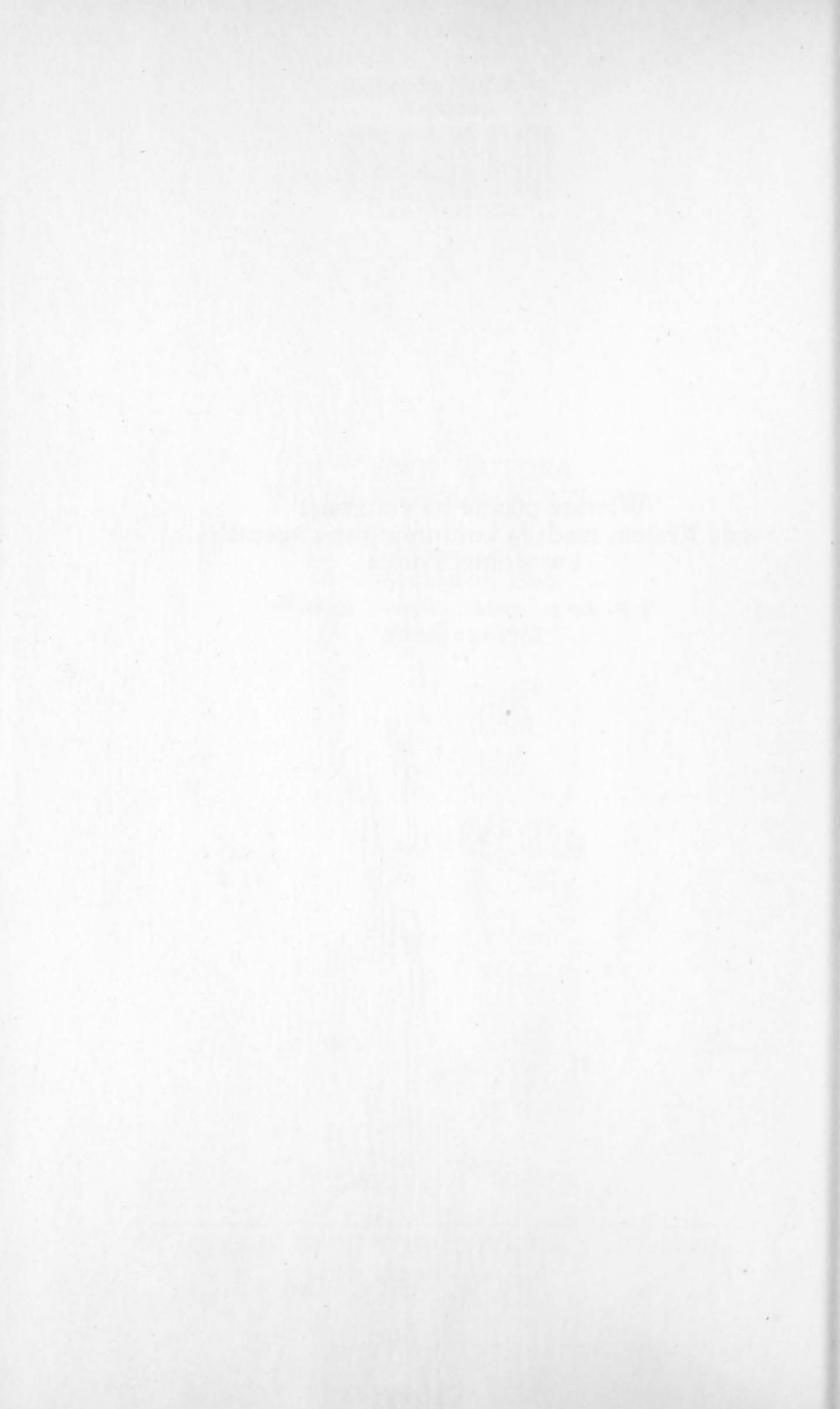
J 2.480.924



© COPYRIGHT BY INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L. PARIS, 1994

2013 d 1539

Wiersze pisane na emigracji
gdy Krajem rządziła komunistyczna agentura
i w wolnej Polsce



ROK 1939

W południe słońce zmienia liście klonów w świecące lustra
a ja płynąc w 39-tym z Brestu do Montevideo
na angielskim parowcu słyszałem śpiew syren.
Jeśli ktoś by zapytał w jakim języku śpiewały
na otwartych wodach Atlantyku
odpowiedziałbym że śpiewały po polsku.
Może nawet recytowały mój wiersz z „Pełni czerwca”
napisany pod wpływem Rimbauda.
Na przeludnionym dworcu w Paryżu
gdzie tłumy przerzucały się z pociągu na pociąg
by zdążyć na czas a ja
pilotowany przez poetę Bieńkowskiego
słuchałem wierszy Supervielle'a
w autentycznym i pięknym przekładzie.
Myśmy wtedy cierpieli na tak zwany Zachód
czyli Francję która była esencją Zachodu
eliksirem Baroku wdziękiem Renesansu
syntezą greckich i rzymskich wajdelotów;
tak na francuskim skrawku zmieścić się
świat który przeżył sam siebie
zdeptany pochodami janczarów i rzymskich chorągwi
otruty owocami z cesarskiego ogrodu
linczowany na oczach tłumów
sztyletowany przez przyjaciół.
A teraz na dworcu który mnie odgradzał
od prawdziwej Francji słuchałem wierszy
jakby to była msza w Notre Dame

w tłumie który zamknął się w sobie
odgrodził od świata
i na chwilę uległ najwyższej potędze słowa —
Poezji.

Potem było już życie otwarte na oścież
któremu oddałem wszystko nie biorąc w zamian nic
prócz okruszków księżycy i woni powietrza.

To nie był już mój świat
ani mój kraj
nie moja polityka.

Nie moje pisma w których drukuję wiersze
nie mój Tygodnik który czytam
pisany kropidłem bez święconej wody.

W zakrystiach konsulowie wpisują do paszportów wizy
ale ani to mój konsul ani moja zakrystia
ja wciąż jestem w podróży.

Na noc zatrząskuję wszystkie drzwi
bo wplątałem się w życie
jak głowa w cierniową koronę.

WIEM I NIE WIEM

Wszyscy poeci świata
Przemawiają tym samym językiem.
Słowo jest ich najwyższą chlubą
Jak dla skoczka olimpijski rekord.

Moja wewnętrzna cisza nie opuszcza mnie
Moja siła w biesiadzie słów
Nie wiem dlaczego tak jest ale wiem
Że ktoś za mnie o tym wszystkim myśli
Słyszę szepty i milczące głosy.

Są i będą królestwa i królowie
I ci co pełzną u ich stóp
Ci co chcą wiedzieć
I co nic nie wiedzą
Zwycięzcy i zwyciężeni.

Moje noce iluminują czernią
O tej samej godzinie dzwoni codziennie budzik
Przez senne rzesy przemyka się świt
Zapowiedź jałowych godzin
Które znowu zejdą na manowce.
Może jednak nie wszystkie chwile uschną
Bo odkąd losy kraju wziął w swe ręce Wałęsa
Wszystko widzę jaśniej
Mimo iż wiele antygłosów niepokoi mnie
I drukowane antyteksty pachną srebrnikami
Ich treść zbyt natarczywie rani moje ucho
Jak muzyka Wagnera.

KAŻDY Z NAS NOSI W SOBIE
ZALĄŻKI WIELKOŚCI
(wiersz dla Miłosza)

...lecz w gruncie rzeczy
była to sprawa smaku
Tak smaku....

Zbigniew Herbert: *Potęga Smaku*

Zdziwaczał na stare lata;
Jak majowy chrząszcz
pije gdzie może zalążki wielkości
które życie trywializuję.
W kwiatach kasztanów, w zielonych barwinkach
na klęczkach pobożnych słów
w krajowym piśmie które ledwie dyszy
(zważywszy na ciężkie warunki młodej demokracji)
na fotografii zajmującej całą stronę pisma.
Soczewka aparatu utrwaliła,
co uchwyciło jej kryształowe oko;
zamiast pozy – pozera.
Twarz świeckiego pisarza, ruch rąk
godny osób wybranych przez Boga.
Niestety gdy wiara przestaje być obroną tarczą
majestat pokory znika,
wychodzą zalążki śmieszności,
właściwe ludziom próżnym.

Toronto, to dla wielu emigracyjna Mekka
Miasto czystości, nie rani brudem oczu.
Śmiecie, żałoba piękna, wrzucamy w zielone

plastykowe worki lub w blaszane naczynia
wynoszone na chodnik dwa razy w tygodniu.

Chodniki surowo pilnują czystości

Pusta butelka czy zimny niedopałek

to lament który podrywa do pracy

Zakład Oczyszczania Miasta; ludzi sytych,

ubranych w nakrapiane fosforem

pomarańczowe kamizelki,

rzucające się w oczy.

Trudno przeto w Toronto o drogowy wypadek –

Cmentarze świecą pustką.

Lecz ja tu nie z przypadku.

Nad głową zenit pęcznieje od słońca.

Idę żółtą ścieżką wyścieloną

piaskiem

wśród grobów w kwiatkach i płonących świecach

o których raz do roku pamięta rodzina.

Kwiaty można kupić przy wejściowej bramie

dzielącej świat żywych od świata umarłych.

Żywi umrą. I ja na cmentarzu

zapominam o lekturze krajowych pism

w których czytam o szturmie na rządowe fotele

ambasady i senatorskie łóżka

o perfidnych komunistach

zgnębionych przez Wałęsę.

To wszystko czeka mnie w domu

atakuję jak Szwedzi Częstochowę.

Wracać, czy dogorywać błogo, tu

w ciszy grobów i supermarketów.

Gdybym wrócił

może i dla mnie trysnęłaby mlekiem

święta krowa krytyki którą doi Barańczak.

Nowa Fala wciąż w modzie.

Różewicz w odstawce, a ja

na wysypanej żwirem ścieżce

z głębiem ciszy grobów –

zapisuję co spadnie z milczenia umarłych.

W domu z tomem wierszy Łobodowskiego
Prawdziwy to poeta choć może wczorajszy.
Przeżyliśmy wspólnie wiele.
Więzienie w Hiszpanii
obóz nad rzeką Ebro, Londyn – wyspa tonącej
narodowej dumy,
ość w gardle Stalina.

W otwartym oknie zapach ziemi
Jej biologia wlewa soki w ogrodowe klony.
Lecz z kim tu rozmawiać o poezji
o spacerach wśród grobów.

Wieczorem sen
Chwile jasne i chwile ciemne
W snach często widuję znane mi baraki
Szkielety dzieci
Leżące jak kruche świątki.

Po ogniu pozostaje popiół
Po życiu – urna.

Jak to się stało że na cmentarzu czuję się
jak u siebie w domu?

Wydaje mi się że szczęśliwie dobiegam do mety
Mam szczyptę własnych słów
Półki z książkami
Niecierpliwe biurko
Widok z okna na cmentarz, wygasły krater życia.

Serce czasem dokucza, krew wysycha
zwapniałe aorty duszą się bez tlenu
Marzę wtedy o zmianie klimatu
O podróżach wywołujących podskórne trzęsienia
Mocniejsze od letargu.

Góry Skaliste to mój turystyczny narkotyk
Kamienne posągi szczytów
Martwe lodowce w baldachimach chmur
Wytyczające drogi samolotom Air Canada –
Gdy góry stoją w miejscu.

Samochody turystów zaparkowane na zboczach
Wydają się tu wybrykami natury.
Nie żyją wprawdzie długo
Bo wszystko co z ludzkich rąk
Ulega zniszczeniu.

Na śniegu ślady po butach wspinaczy.
Lodowce trwają wiecznie.

CZAPSKI

Józiu, Józiu –
Jesteś nareszcie wolny od nadmiaru lat
pełnych słów i obrazów
w twojej galerii w Laffitte.

Twoje listy doręczam ci
w koszyczku.
Czytam je
cenne zgłoski wypełnione życiem.
Dziś mogę o nich mówić bo są już historią:
listy lotnicze na wątłym papierze
by się nie drożyć z celnikiem
gwaśne w ciemnych kolorach niesytego słońca
ocalone w moim domu,
paryskie cienie w ulicznych mansardach
i kwitnącą Polskę w Laffitte.
Co krok to pamięć o „Nieludzkiej ziemi”
dziś przeklętej na zawsze –
i zapiski nadziei –
listy, listy, listy
w swoim świecie donikąd.

Pamiętam twoje więzienia i moje na emigracji
mój czas w Toronto
z bielmem ślepych słów.

Słowa są miątkie
pomniki kruszy czas – wiem
bo jestem dziś dostatecznie stary
o życiu które dało mi się we znaki.
Dziś nie szukam zapachu róż lecz zapachu słowa –
luksus – bolesny jak garb.

Pamiętam twoje obrazy uczulone słowem
paryskich przekupek,
ich twarze we mgle –
niestety
jesteśmy tymi samymi dziś co byliśmy wczoraj
bez pewności że wieczność ocala.

Twoje listy, krocie słów, szkiców i –
obrazy, obrazy, obrazy
w moim gościnnym domu
wypełnionym tobą.

CO JESZCZE MOGĘ POWIEDZIEĆ O JÓZEFIE CZAPSKIM

Artyście, za Swobodę Tajemną

Do Maisons-Laffitte dojeżdża się metrem z Paryża
a potem wyboistą już ulicą do pielgrzymiej Furtki.
przed Domem czeka Redaktor
a na poddaszu limbo Artysty; Czapski
wpatrzony w siebie maluje portret słońca
ognistą kulę nad Ziemią.
Mądrość jego farb jest tak oczywista
że słyszę ich głosy gdy schodzą na płótno.

Ludzie na płótnie są żywi
jak wiara w nich Artysty.
Może na mój wiersz spadnie kropla
szaleństwa z palety Czapskiego
by mój wiersz ożył.

Dłoń artysty to różdżka czarodziejska
on jej ufa jak ja ufam słowu.
Wprawdzie moje zdania są krańcowo różne
bo wiersz żyje sam na skrzydłach wyobraźni
– proza idzie po ziemi –
zaś obraz jest z farb paproci.

Jakie więc podobieństwo łączy nas
jaka nieznana miłość –
jakie elementy rozjaśniają nas?
Gdy patrzę na ciepłe słońce w obrazie
Czapskiego
wiem że we mnie żyje
że czas jest lepszy niż był.

Co jeszcze mogę powiedzieć o Józefie
Czapskim?
Że był wnętrzem naszej martyrologii
że żył by ratować innych.

Toronto, 22 listopada 1989

IDĄC KRAKOWSKIM PRZEDMIEŚCIEM
W MARCU 1991 ROKU

Poetom śnią się laury, a mnie śni się las
podszyty leszczynami, śni się śpiew słowika
najbardziej słodki bo niewymuszony.
Słodycz czasami męczy
jak recenzje pisane przez przyjaciół
by blade zdania nabrały rumieńców
choć większość chwalonych książek umiera
w przedpłacie lub w katakumbach bibliotek.

Tak w kraju jak na emigracji
tryumfuje przemiał.

Czytam nowe literackie pismo, wydane
by konkurencja nie mogła spać w nocy.
Garstka młodych pokonała
poetów porośniętych tłuszczem
których utwory wymknęły się życiu
mimo błogosławieństwa sponsorów
źle poinformowanych;

talent kołem się toczy
bania poezji wyschła.

Lawa słów sływa na powierzchnię dnia
a ja nie jestem z kamienia –
czasem lektura wierszy zaczyna mnie dusić
są wprawdzie bogoojczyźniane, a jednak bez Boga
bo gdy autor sam siebie namaszcza
Bóg skromnie odchodzi
nie chce współuczestniczyć
zaś ci którzy myślą krakowskim targiem
że Boga już nie ma
chwałą, co jest pod ręką.

Kraj zdjęty z krzyża
podobny jest do żebraka który nie ma sił
by wyciągnąć rękę, prosi wszech
by jałmużnę wpłacano mu na konto bankowe
ale w twardej walucie –

złoty zdiadział

Nieproszony i niepowołany
idę Krakowskim Przedmieściem w ukropie spalin
wśród twarzy o szpitalnej cerze
i złotoustych polityków
świętujących w roboczy dzień.
Zatory nie uprzątniętych śmieci
towarzyszą mi gdy schodzę ku Wiśle
której bieg nie zmienił się
choć zmienili się ludzie.

Jestem tu incognito
miecz archanioła wojny złożyłem
przed wyjazdem w londyńskim Muzeum
by być częścią historii, a nie żywym ciałem
upominającym się o swoje.

Do nikogo nie zgłaszam pretensji.

Przyjechałem by się uwolnić od zbyt długich podróży
z niemoich krajów odrzucanych stale
z miast widzianych cudzymi oczami
od wspomnień które dawno odłożyłem ad acta.
Dom jak stał tak stoi otwarty
z dnia na dzień i z roku na rok
wśród kwitnących chabrów i rumianków
koników polnych które nigdy nie wyemigrowały
przy polnej drodze która nie zesłała na bezdroża
światowej elegancji.
Ameryka mu nie w głowie –

Mój wiersz wpisany w ich byt
uparł się być sobą
w latach językowych potrzasków i pokus
stawał na głowie –

Dziś nie ma zamiaru opuścić tych stron.

MIĘDZY PRZESZŁOŚCIĄ A TERAŹNIEJSZOŚCIĄ

Stefanji Kossowskiej
serdecznie

Na oknie doniczka z chropawym kaktusem
w kolczastym okryciu
niczego nie wyjaśnia –
ani mój nałóg pisania wierszy.

Patrzę na jego zieleń
wśród porannych mgieł
na moje słowa bez echa
gdy słońce oczyszcza ziemię
z nocnych rupieci –
na obudzonego motyla
w sennej drzemce
którego puder kolorów
w gorący dzień –
jest żywy.

Myszę o uwieczonym kaktusie
w glinianej doniczce
i wiem
że wie on o życiu
więcej
niż ja na wolności.

WIERSZ DLA EWY LIPSKIEJ

Jestem wdzięczny że jestem jaki jestem
Nie widzę innego niebezpieczeństwa oprócz bycia sobą
Żadnej wojny w zanadru.

W purpurowym Krakowie zagrożonym śmiercią
Ewa Lipska mówi do mnie dyskretnym szeptem
na tyle głośnym że słyszę ją w Toronto.
W purpurowym Krakowie poetów chroni historyczny Wawel
Dlaczego – powody znane.

Wiosna na Plantach stawia pierwsze kroki
Z gzymsów domów znikły sople lodu
Z gór spływają akordy powietrza
przypominające wiersz Poetki
z piątego jej zbioru.
Ja wczytany w jej przystępne słowa
Czyny frontowe przechowuję w zanadru
medale śpią na miękkiej poduszce
w safianowym pudełku
a przy nim tom Poetki.

Co prócz talentu ma jeszcze Ewa Lipska
Chyba siebie wypełnionej sobą.
Nie wiem czy uda mi się dotrzymać jej kroku
bo wiersz to nieuchwytny ogon płochy liszki
uchwycony w porę.
Lepiej jednak rozłupywać spazm własnego słowa
niż biegać jak kot z pęcherzem
przed przygodnym tłumem.

KTO MOŻE MNIE ZAPEWNIĆ

For John Hall my longtime friend

Za chwilę zejść na parter
nastawię radio
i będę słuchał opery Straussa.
Grana wśród przestronnych kurtyn
i hojnych oklasków akustyki
wiedeńska Salome
nie będzie się czuła w moim ciasnym pokoju
tak jak na wiedeńskiej scenie.
Choć żyję w dostatku
noszę w sobie stały głód.
Słowa robią mi często wyrzuty
gdy zamiast: Jeszcze Polska nie zginęła
śpiewam: God Save the Queen.

Przyznam – oba hymny
drążą we mnie większą jeszcze pustkę.

Bo kto może mnie zapewnić
że Pieśń uszła cało!

PO CO BYŁO UCIEKAĆ Z EGIPTU

Kupuję chleb w tutejszej piekarni;

chleb nie jest manną
jest owocem ziemi
manna jest łaską Nieba.

Chleb tutejszy nie ma aromatu
pokrajany w piekarni
opakowany w plastik
czeka w sklepiku na niechętne ręce –
kupiony leży jak półżywy ptak
obnażony z piór.

Chleb tutejszy nie jest jak manna
ani moja pustynia prawdziwą pustynią.

Rzeka która przepływa przez miasto
nie ma własnego ujścia
korzysta z Jeziora.
Wszyscy łowią w nim ryby
gdy ja kupuję moje z lodówek w supermarkecie.

Toronto na oko jest jak inne miasta
domy w nim są z belek i cementu
a ja chciałbym aby były szklane
w ogrodach z kwiatami ponad wszystkie glorie;
moje glorie nie ich.

Na końcu ulicy zamieszkał przytułek
ludzie w nim żalą się że tu taka pustka
że życie robi im łaskę.

Po co było uciekać z Egiptu.

BEZKRÓLEWIE

Pamiętaj o słowie które nie jest twoją własnością
Pamiętaj o powietrzu które nie należy do ciebie
o kamieniu węgielnym kładzionym na wyrost –
Historii bez retuszu.

Płatki róży w dłoni błazna nie tracą koloru
Ani pomnik bohatera nie traci na czci.
Zatrzymany wśród zatrzymanych
Zakotwiczony na obcej mieliźnie
Jestem blisko siebie,
Choć daleko od siebie.

Gdzie się podziła Polska,
pytamy retorycznie?

Kraj wciąż bez Konstytucji
Prawo bez Kodeksu.

PODZWONNE

Wciąż widzę siebie stojącego w drzwiach.
Nie biegnę jak inni ku paradnej scenie
z której głowy do pozłoty kłaniają się sobie.
Może i ja miałbym tam miejsce
Choćby w drugim rzędzie.
Wolę jednak stać, jak stoję.
Mój wiersz towarzyszy mi.

Przeszedłem sahary lat
Po wojnie wybrałem kraj za oceanem
Francji nie chciałem, jej Łuk Triumfalny
opluły hitlerowskie spojrzenia.

Gdy jestem w Paryżu
Odwiedzam postać Pielgrzyma na skromnym
uboczu.
Oddycham słowem Camusa
Geniuszem Celina i spelunkami Geneta
wspaniałym światem Impresjonistów.

Po wojnie Paryż zmałał.
Czasem pod lampą o stu świecach rozkładałam papier
By napisać o Francji wiersz.
Niestety
Brakuje mi zawsze odpowiednich słów
Bez których żaden wiersz
nie zgodzi się być.

W SPRZYJAJĄCYCH OKOLICZNOŚCIACH

W sprzyjających okolicznościach
mogłem być dyskobolem lub łucznikiem
Moora
atletą karmionym sztucznymi treściami;
uznanym artystą wśród paryskich clochardów
z wypiekami na twarzy postrzępionej głodem.

zostałem poetą.

Toronto, 11 grudnia 1990

BUKOLIK

Trzmiele unoszą się na wątych skrzydłach
coś im przeszkadza bo brzęczą;
może niedopasowane skrzydła
może nienaoliwione pióra.
Jestem po ich stronie
bo nie widzę powodu by owady cierpiały.

Kwiaty
pokryte mrokiem tracą kolory.

W powietrzu kilka kropeł zadumało się
przed upadkiem; wiem
że je przygarnie spragniona noc;
że owady będą pić
i kwiat się przy nich posili;
że we wnękach liści powstaną jeziora
w których mogą utonąć
nieopatrzone trzmiele.

Wolę je ostrzec.

Ludzie kiedyś
byli jak święci
może dlatego że tak mało chcieli.

RODZINNE KŁOPOTY

Miałem ciężki rok
– oby ostatni –
bo człowiek kruszy się
łatwiej niż kamień.

Spotykałem wielu proroków –
żaden mi nie pomógł.

Pytałem Wszystkich Świętych
bo nie mam własnego –
jak nie mam własnego domu
z psem Łyskiem w jego domku
dzieło mego ojca
który był naszym
rodzinnym Fidiaszem.

Miałem ciężki rok
– oby ostatni –
bo człowiek kruszy się –
myśląc.

WIERSZ DLA PAWŁA MAYEWSKIEGO

Autora „*The Journey And The Pity*”, który
zmarł 21 października 1991 roku w Gainesville
na Florydzie, zubożając swą śmiercią literaturę
polską i amerykańską.

Dlaczego mamy się spotykać o tej porze –
Jest późno, czas niepewny, w ciemności
Zieleń traci piękno jak twarz zalana łzami.
W nocy wszystkie gwiazdy podobne są do siebie
pnie drzew znikają
tylko cisza ma głębszy urok
bo nic jej nie mąci.
Noc jak kapłan w konfesjonale
wsłuchany w grzesznika
gdy szuka słów by mu dodać sił.

Obaj kończymy nasz wspólny bieg
choć start mieliśmy różny
może więc odwołamy na razie ten finał
bo śmierć, jak wiesz
Nie jest w życiu żadnym ocaleniem.

TYTANIK

Luksusowy angielski transatlantyk zatopiony w pierwszej podróży z 14-ego na 15-ty kwietnia, 1912 roku, po zderzeniu się z górą lodową, w pobliżu Nowej Funlandii. Samoloty niektórych linii lotniczych z Kanady i Stanów w drodze do Europy, przelatują nad północnym Atlantykiem i grobem Tytanika.

Atlantyk zawsze jest tu wrażliwy
jakby wiedział że na jego dnie
leży zatopiony Tytanik –
trumna niesiona prądami
martwa wśród ukwiałów
kolorowych małż
w plejadzie złotych ryb.
Wszystko to na dnie wśród martwych
fal.
Dlaczego, myślę, powstał ten cmentarz
po którym krążą lodowe góry?
Samolot zniża się by zajrzeć śmierci w
oczy
ogromne sondy, platformy z nurkami
z flagą nadziei –
praca nad wydobyciem Tytanika trwa.

WIOSNA 1990

Rano w okapie mgły bieleją ludzkie twarze
Śledzę jak pająk słońca zaciąga złotą sieć.
Przyzwyczałem się już do widoku który się powtarza
Do rosy na liściach klonów
– ogrodowych stuł –
Do popękanego chodnika przed domem
Naprawianego przez leniwych Włochów.
Do lat które stale wyprzedzają mnie.

W pobliskim parku bawią się wiewiórki
za oknem na cmentarzu grobowa cisza.
Wszystko w tym mieście jest przeciwko mnie
Chciałbym i ja wylegiwać się wśród własnych słów
Gdy u nóg naszych leżał Rejtan.
Wierni i niewierni wpraszają się dziś w łaski.
Może w nas Słowianach
Tkwi nadmierny pęd do wielbienia siebie.

Unikałem historycznych scen
Dziś sam jestem historią.

WIERSZ DLA STRZELCA K. Z BRYGADY PODHALAŃSKIEJ

Zawsze spóźniony
gdy dobiegałem do mety
Stadion był już pusty.

A byłem dobrym atletą
Trenowałem się na znanych stadionach
przed Olimpiadą
którą przekreślił Hitler.

Potem pod Narvikiem w Brygadzie
Podhalańskiej
patrzyłem jak moje życie okradała wojna;
jak na przynętę rosły tam białe brzozy
podobne do naszych.

Pamiętam jak strzelec Kałyniak
uczył się alfabetu i polskich słów
by po wojnie wrócić do Zaleszczyk
piśmiennym żołnierzem –
padł pierwszy od niemieckiej kuli –

Niosłem go na punkt opatrunkowy
był słoneczny dzień
rany otwarte krwawiły
od Narviku do jego Zaleszczyk.

MŁODZI POECI AMERYKI

Młodzi poeci Ameryki żyją blaskiem słowa
Mają na co dzień Biały Dom
Guggenheimy na każdej ulicy.
Ich życie jest czyste jak łąka
mimo bólów Południa
i tragedii M. L. Kinga. Oni,
nie przeżyli zdruzgotanego
Posągu Wolności.
Ich robotnicy
ubrani w kolorowe kombinezony
budują domy o przestronnych wnętrzach
które na Wschodzie
można oglądać
na czarnym rynku snów.
Mimo to młodzi poeci Ameryki
którym dano luksusowy kraj
Wąwóz rzeki Colorado
sięgający dna ziemi
to gnuśne owady na drzewie Whitmana.
Dolar użyźnia ich talent
strzeże przed pustym zdaniem
przed noclegiem w Armii Zbawienia
której salony otwarte są dla nas.

ZWIĘZŁE ZDANIA SĄ JAK STRUNY HARFY

Henrykowi Wójcikowi,
też z lubelszczyzny,
z przyjaźnią

W ogrodzie zawsze głośno od zieleni
Od motyli które jak żywe kwiaty
Roznoszą kolory na tęczowych
skrzydłach.
Tu mój wulkan pamięci żyje,

Ogród jest mój
Przestronny mimo płotów sąsiadów
Treściwy w słowa.

Radzę poetom żeby się streszczali
Moje zdania są jak struny harfy
Pod dotknięciem Wandy Landowskiej
Jak zegar który nastawiam
Na jutrzejszy dzień.

EMIGRACYJNE DUSZE WRACAJĄ DO KRAJU

Ten wiersz jest pochwałą
czego jeszcze nie ma
a co się stanie –

Ja, człowiek prostych wzruszeń
nauczyłem się kusić jak róża.

Nie namawiałem na emigrację
ani Herberta ani Lebensteina.
ich zagmatwanych dusz
którym w Maisons-Laffitte
patronował Czapski.

Czas żyje w nas
a jego obecność ponagla nas do ruchu
choć na spacerach bolą nogi
gdy oliwa którą dolewaliśmy
wypaliła się.

A to dopiero Marzec –
Mój dom w oponczy śniegu
z biegunem pod głową.

Już nieraz nas zawiąło
i nikt nam nie pomógł
choć były stacje meteorologiczne
czuwała prasa.

Po Marcu pogoda nabrała kolorów
zuchy z Gdańskiej Stoczni
bukietem słów nie strzałów
ocalili Wolność
tak jakby czekała za progiem
a nie w lochach Kremla.

Dziś idąc po krajową wizę
z twarzą emigranta
byłem jak górnik na powierzchni dnia.
Zatory na ulicy omijały mnie
czerwony tramwaj po kąpieli
uśmiechał się.

Wizę otrzymałem wczoraj
dziś okrężną drogą
lecę do Helsinek.

Nie mam sympatii do Szwedów
ich dobrobyt tuczy ich samych
zagłuszony brakiem miłosierdzia.
Szwedzi nie brali udziału w żadnym mordobiciu
gdzie umierała wolność –
serca ich milczały.

W kryształach zwykłego szkła
stewardesa roznosi bursztynowy płyn
z orzeszkami w plastikowych woreczkach –
przypominają mi umarłe na mrozie jaskółki
które przedwcześnie wróciły do gniazd
w prowincji Saskaczewan –

pisaty o tym emigracyjne gazety czułe na śmierć.
Farmerzy starali się jaskółki odratować
w domowych cieplarniach –
gdy ja przy pełnej szklance
myślałem o moich czynach.

Zanim samolot przysiadł w Helsinkach
by nabrać tlenu w płuca – oczami duszy
byłem już u celu.
W pośpiechu mineliśmy serdeczny Gdańsk
gdzie robotnicy rozjaśnili krajowe ciemności
policzkując niepolską Władzę.

Zapomniałem już o konsulu
o jego biurze w Toronto
i moich więziennych obozach;
chciałem już odejść ale się uparłem –
choć czekał mnie jeszcze mur przepisów
nagrodzony na Okęciu uśmiechem i słowami –
– Witamy w Kraju!

Wszystko co wiozłem z sobą
wszystko się sprawdziło.
Zapomniałem o Zatoce Perskiej
o Konsulu w Toronto.

Choć ten lot po ponad pięćdziesięciu latach
Był w rzeczywistości jak jesienny liść.

Toronto, 1990-1991

WELCOME

W Toronto które nie jest dla mnie
alfą ani omegą, po pracy w sądzie
i nad rodzinnym wierszem
gaszę o północy cierpliwe światło
i idę spać.

Lekarstwem na hałas miejski jest spokojna noc
moja, wśród znanych pól i rześzystych drzew
na skromnych pagórkach, turkotu wozów
na ślimaczej drodze okrążającej wzgórze.

Gdy śpię jestem u siebie.

Otacza mnie rodzinna zieleń
z pierwszej ręki, ta sama
którą Pan Bóg wskrzeszał do życia
razem z biblijnym Rajem
nie zauważonym wprawdzie przez historyków
choć wszystko wskazywałoby
na jego tu obecność.

Historycy czasami myślą się
Prorokom zasychają gardła
Życie – wiemy – nagle staje
nie dobiegłszy do mety.

Ale gdy żarzą się słowa, wszystko jest możliwe
stary chełmski gród na skromnym pagórku
przychodzi, puka do drzwi
wtedy uprzejmy sen mówi obcym głosem
WELCOME.

DO RÓŻY

Ja też mam swoje tajemnice
jak ty swoje.
Moje ukrywam w słowie.
Jesteś moim częstym bohaterem
wynoszę cię z chińskiej kwiaciarni
jak mag szklaną kulę.
Na Drodze Mlecznej po której we śnie biegam
jesteś moją palmą zwycięstwa.
Wiem że beze mnie nie byłabyś różą
może źdźbłem polnej trawy
lub żytnim bez kłosa –
ujściem ciemnej rzeki
w głąb bałtyckich wód.
W życiu nie jesteś zbyt wymagająca
jak pastisz Witkiewicza
lub młodopolski wiersz
który sam siebie niszczy.
A jednak ocalałaś z biblijnych potopów
jak orzeł wśród szczelin gigantycznych gór
para prototypów
w legendarnym Raju.
Oni – pierwsi emigranci
też przeszli swoje
nikt nad nimi nie litował się
żyli sami
a Pan Bóg był daleko
zajęty wykańczaniem swoich boskich dzieł.
Mój czas jest miarą twego
tylko gdy piszę o tobie
mój wiersz jest nieskończonością
której mi zazdrościsz.

BŁOGOSŁAWIENI

Błogosławieni którzy życiu
dają możliwość żyć.

PRO DOMO SUA

Dziś bez lęku opowiadam siostrzeńcowi
o więzieniu w Figueras i obozie koncentracyjnym
w Miranda de Ebro, gdzie spoliczkowano moją młodość.
Nie odwiedziłem wtedy Kordoby
pamiętającej czasy pierwszych chrześcijan.
Iluż wyznawców Krzyża zeszło na manowce
gdy szalała Święta Inkwizycja?
Dlaczego Święta, nie wiem.
Gdy Franco bratał się z Hitlerem, ja
przekradając się, omijałem policyjne miasta;
Burgos, Madryt, Kordobę.
Gwardia Cywilna w półksiężycowych hełmach
i w brudnych pelerynach, zagradzała mi drogę.
Więzienia hiszpańskie nigdy nie świeciły pustką
przekonałem się o tym, ja
i poeta Józef Łobodowski.
Kordoba olśniewa wiekiem
jak legendarna ampułka Graala.
Z niej wyniósł wspaniałe myśli
Seneka opętany wielkością.
Tu Błędny Rycerz walczył z wiatrakami
po którym przejął mój wojenny trud.
Z myślą o nim byłem w Norwegii.
Ale moje wiatraki pokonały mnie.
Dziś noszę w sobie tamte znoje
podróżując po ruchomych piaskach emigracji

W RESORCIE KAMELEONÓW

W tym roku nowy zawód –
Miałem wyjechać do zagranicznych wód
w głębi Limpopo
ale ptakom nie przydzielono na czas wiz
ktoś na szczycie pomylił daty
gdzie się ustala codzienne programy
przez Ministerstwo Ruchu
w resorcie kameleonów –

Zmęczony po latach niebytu
przestałem się dziwić sam sobie
i tym jak ja
którzy pełzali po ziemi –

Wciąż pokutujemy za nie swoje grzechy –
nikt dziś nie wie do jakiej należy parafii
z bogiem czy bez boga –
każda na oko mieni się jedyną
ale w istocie sam nie wiem
czy bóg coś o mnie wie –

starych świętych wygnano z torbami
w powietrzu jest próżnia –
jutro też nie jest pewne
prócz zachodu słońca.

PRZEWAGA SŁOŃCA

Nieuleczalni nie wierzą w choroby
i to ich trzyma – w ruchu
jak bilardowa kula
okrągła na wszystko.

Ja też obijałem się
wśród emigracji
by odświeżyć ich stęchły język
który dawno umarł
ale wśród nich żyje.

Ich niedorzeczność
przypomina mi wiersz Lipskiej
o NIEDORZECZNOŚCI
błyszczący jak mika w słońcu.

Wszystko w istocie
łączy się po latach –
uskrzydłają się słowa
co miątkie znika
jak cień na księżycu
pod naskórkiem chmur
płynących w nieznane –

Przewaga słońca jest wieczna
jak wiersz Lipskiej
z jej „niedorzecznych” słów.

ŻYJĘ JAK ŚMIERĆ ZAKOCHANA W SOBIE

Ludzie którzy marnują dary słowa nie są godni wiersza
Tęcza która nie ma kolorów nie zasłużyła na niebo
Starcy na śmietnikach zbierają okruchy szczęścia
Razem z bezdomnymi kotami i psami.
Nawet nie wiemy jak blisko jest prawdziwe królestwo
O którym marzymy we śnie.
Moja taśma nagrana w Domu nad Uherką kończy się
Już nie muszę odwiedzać przyjaciół
Nie jestem im potrzebny
Nie telefonują do mnie boją się prawdy
W ich słowach szczebiocze żołądek
Dźwięczą zdrowe aorty przemywane winem
Rano kłusują ku rzeźni po tłuste kurczęta
Po tuczonego indyka.
Mój dzień w oknie maleje
Susza ziemi jest w moich płucach
Dźwięk słowa tli się jeszcze w ogarku wiersza.
Jestem taki szczęśliwy i taki spokojny
Że nie muszę odwiedzać przyjaciół
Nie muszę telefonować.
Żyję jak śmierć zakochana w sobie.

ANTYWIERSZ CZYLI ROZMOWY POLONIJNE

Przypuśćmy że rzeczywiście istnieje
i nami pomiata, że rozmowy nasze
toczą się w ciemności
na obcym końcu świata
gdzie rosną mchy
kwilą wiatry;
my nie mamy już prawdziwych imion
mówimy między sobą zatęchłym językiem
każdy z nas ma cudzy orzech do zgryzienia
zanieczyszczoną donosami pamięć
jesteśmy niby ciche nietoperze
rzewne ptactwo nocy
wykałaczkę zmiennych nastrojów;
nasze ogrody nie zakwitną już
baśnią z tysiąca i jednej nocy
wyschły piersi matek
omdlała ręka ojca
może jednak znieść jeszcze polonię
pamiętając że starzyzna cuchnie.

WIEŻA ŚMIERCI W TORONTO

Jest cała z metalu
ma stację z mózgiem elektronowym
który odbiera zagraniczne rozmowy;
wirującą restaurację
dla przygodnych turystów szukających wrażeń.
Widok z niej rozległy
od Niagary do Oceanu
ale ptakom zagradza
utartą od pokoleń drogę;
nikt ich nie ostrzegł
wpadają w metalowe przęśta –
zranione krwawią.

Cud techniki i architektury
jest najkosztowniejszym nagrobkiem
dla ptaków podróżujących z Północy na Południe.

Czy nie lepiej zbudować ją było tylko w wyobraźni
wspinalibyśmy się wtedy na jej szczyt
a może i wyżej
bez pomocy schodów.
Balustrada w powietrzu chyba by wystarczyła
gdyby ktoś chciał rzucić się z jej szczytu

i dalej żyć.

TRZECI LISTOPADA 1990, W TORONTO

Zbudzone o świcie słońce zapowiada gorący dzień
Dom w półsennych jeszcze szeptach
przeciera szybom oczy. Gałęzie drzew za oknem
rozmawiają z wiatrem, sączą poranną niepewność;
Nawet gołębie na dachu czekają.
Ktoś nacisnął klakson,
metaliczny jego głos wydał ostrzegawczy sygnał
szturmując uliczny ruch.

Świerszcz w ścianie obudził się
Na kilku strunach ciszy śpiewa od lat
Tę samą pieśń. Słucham go
bo wiem że jego wielkość jest jak moja
zbyt cicha.

Sobota –

otworzyłem po śniadaniu ekranowe pudło
bo raz na tydzień mówi do nas kraj.
Każdy inny dzień
jest jak pustynia bez manny.

Dziś w tak piękny jesienny czas
drzew opiętych senną aurą, okrytych złotem
gdy liście schodzą by usnąć na ziemi
niepotrzebnie włączyłem ekran telewizyjny
po to by głos zza grobu przemówił ponownie
głos nowego (byłego) ambasadora
który trzydzieści lat temu napiętnował mnie.

Pomyślałem o dniu zmarnowanym
O życiu które niczego nie wyjaśnia.

Toronto, 3 listopada 1990

KOŃCZY SIĘ MOJE STULECIE

Moje życie przechrzyło mnie
jak w opowiadaniu o żywej śmierci Lipskiej

Kończy się nasze stulecie
Widzę je jak na dłoni
I nic –
Tyle tylko że było.

Nie każda wielkość jest trwała.

2

W starej dzielnicy Alfama w Lizbonie
widziałem w gorące popołudnie
jak łódź podwodna
płynęła środkiem Tagu
ku wodom Atlantyku
samotna jak Nautilus Kapitana Nemo.
Minęła sennie miasteczko Cascais
pełne dziś turystów
w którym w trzynastym wieku
król Aragonu w teologicznej debacie
rozprawiał zalety Chrześcijan i Żydów.
Mój hotel stał na szczycie wzgórza
widziałem z niego Kasyno w Estorilu
najdłuższy most w Europie
miasteczko Sintra z klasztorem
i pałacem królów –

Dziś poetyka jest jak paw bez piór.

Zmieniający się ton wiersza
 raczkuje w prozodii, by uciec
 od ustalonego akcentu –
 Wiersz wolny i asonans
 oto nowe bogactwo metryki
 zdetronizowanej
 w dzisiejszym królestwie rymu.
 Wiersz zbliżony do prozy
 wciąż podlega ścisłej
 wewnętrznej regule
 której poeta podświadomie – ulega.
 Proza nie troszczy się o sąsiedztwo sylab
 o dobór akcentów
 o arystotelesowskie nawroty liryczne
 gdzie dźwięk nie tylko wyraża
 ale i wzrusza.
 Ktokolwiek poszukuje dziś
 w tonicznej parafii
 niech się nie trudzi
 czasem ważniejsza jest klęska
 niż wtórne zwycięstwo
 poeci mówią co dyktuje pamięć
 słowa konkretne albo ich symbole
 abstrakt jest często trwalszy
 a samotna zgłoska może z powodzeniem
 zastąpić głośnie słowo
 lub całą frazę:
 Jamb
 Trochej
 Anapest
 to nie świadkowie dziś
 to historyczni święci.
 A page gramatyka
 woła Białoszewski.

Dziś spędza mi z oczu
mój stracony czas
Ludzie garną się do wiary
jak węże do mleka.*

* fakt zaobserwowany przeze mnie przed wojną w brazylijskiej dżungli

PEWNOŚĆ

W mojej Wąwolnicy jak w Herberta Rovigo
dwa serca i dwa światy
oba niepodobne –
Herberta Rovigo i mój w Wąwolnicy
Napisałem tam wiele wierszy
a wszystkie podobne.
Gdybym napisał tylko jeden
jak Whitman
spadł mi kłopot z głowy.
Ten najpiękniejszy Whitmana
pamiętam jak pacierz
choć nie uczyłem się go
sam się zapamiętał.
Gdy budzę się zamiast miałkich słów
odmawiam wiersz Whitmana
serdeczny jak pacierz
– czczę samego siebie –
– I celebrate myself –

Ja moją Wąwolnicę
a Herbert Rovigo.

MOMENT

Jest cisza ziemi i szept
spadających liści
gdy żegnają się z drzewem.
Słucham mowy wiatru
bo może ostatnia to już jesień
przeorana krzykiem
odlatujących ptaków;
ich lakoniczną mową.
Wiatru nikt nie uwięzi
jego wolność jest inna od mojej
wciąż na bezdrożach
obcych sumień.
Gdy słucham mowy wiatru
słucham własnych słów
a te kryją zasadzkę
bo w każdej sylabie wiersza
jest moja prywatna prawda
o której nic nie wiesz.

Jak blisko jesteśmy boskich praw
i jak daleko od samych siebie.

KAŻDYM DNIEM...

Z każdym dniem zwalniam kroku
Nie odbywam dalszych spacerów
Nie wierzę w wmówione mi choroby.
Nic mnie właściwie już nie interesuje
Oprócz pamięci.
Pogoda rządzi mną jak Posejdon morzem.

Na przechadzce
Ale zawsze w stronę cichego cmentarza

W zimie rozpalam wyobraźnię by ogrzać słowa
Śledzę tryskające iskry.
Za oknem biel pod ciężarem śniegu
Wygląda jak białe anioły
Zamarłe w powietrzu.

Od Autora

Poemat ten nie ma bohatera. Jest nim słowo, którym często niezgrabnie posługujemy się w życiu. Nie jest ono jednoznaczne i ulega zmianom z winy człowieka, którego niedoskonałość udziela się słowu. Sygnalizuję Czytelnikowi uchwyconą przeze mnie treść, ale nie narzucam niczego, a jeżeli czasami unosi mnie potrzeba głośnego protestu, to po to, by ważniejsze fakty nie odeszły z nami, ale dalej świadczyły.

Los nasz jest w rękach czasu, jak wszystko co nas otacza, włącznie z Planetą i jej żywym i martwym dorobkiem. Moje uczucia i sądy, mimo dotychczasowych tragicznych rozczarowań, zmuszają mnie do budowania nowych zamków na lodzie, które prędzej czy później zniszczą zmienne fale wrogiego otoczenia. Fatum to łączy człowieka z Naturą, z jej znikaniem i odradzaniem się w monotonna biologicznych cyklach, wytyczonych przez pory roku.

Słowo ma też swój akt do spełnienia, zwłaszcza słowo poety. Wyczulone na wewnętrzny sejsmograf – serce – ma ono szeroki uczuciowy zasięg: od buntu i apologii, po służalczy serwilizm i zakłamanie, od sublimacji i samouwiełbienia, po samounicestwienie, serce kształtuje uczucia, zmusza do myślenia, ale o prawdę sami musimy walczyć.

Nie jest to przedmowa do poematu, raczej usprawiedliwienie, bo rozpoczynając go około 1968, zdawałem sobie sprawę, iż przeciętny czytelnik nie lubi czytać długich wierszy. Może nie odpowiadają one współczesnemu pokoleniu, które mierzy dziś życie latami świetlny-

mi, obliczanymi w komputerach, maszynach o zawrotnej szybkości i wyobraźni, a nie na naszych starych liczydłach. Pośpiech jest dziś najbardziej znamioną plagą i prawdopodobnie on doprowadzi naszą Ziemię do kataklizmu.

Poemat poprzedziłem dłuższym wstępem; mówi on o naszych wojennych przeżyciach i latach emigracji. W dalszych trzech częściach mówię o wierszu historycznym, Polski Ludowej i naszym, emigracyjnym. Począwszy od Reja, po utwory poetów współczesnych, do roku 1979.

Fakty zwłaszcza w części historycznej są źródłowe. Sprawdzanie ich zabrało mi sporo czasu, pamiętając, iż poezja nie tylko urzeka, ale i uczy. Sądy i opinie są oczywiście moje, formułowałem je, kierując się nie tylko poetyckim wyczuciem, ale i przymusem narzuconym nam przez powojenną rzeczywistość polityczną.

Nie przeczę, iż wiele nazwisk, godnych odnotowania w kontekście tak obszernym jak ten, pomiąłem lub omówiłem marginesowo albo zbyt krytycznie; w tym wypadku kierowałem się jedynie własnym sądem i sumieniem. A choć jak mówi współczesny poeta, Bóg upokorzył ludzi: „Pozwoliwszy im działać jak tylko zapragną”, moja wyrozumiałość nie sięga aż tak daleko.

Pomysł poematu powstał podczas tłumaczenia świetnego utworu Karla Shapiry „Esej o Rzymie”, a gorąco zachęcił mnie i dodał otuchy wydawca nowojorskich „Tematów”, autor wybitnych powieści w języku angielskim, Paweł Mayewski, wieloletni mój przyjaciel.

SCENY WOJENNE

Ostatnio, często, z sobą sam na sam.
Życie staje się prostsze gdy ubywa lat.
Przeszłość i terażniejszość tracą kolor;
słowa, jak rybak, chwytam po omacku;
wśród archipelagów i rzek czułych na dopływy.
Otaczają mnie bastiony półwyspów
od Brytyjskiej Kolumbii po dziką Alaskę
bogata kiedyś w złoto;
O tym pisałem już przy okazji jubileuszu
liściastych wierszy brodatego Poety.
Nie szukaliśmy złota; obaj
upodobaliśmy sobie mizerne bogactwo słowa.
Dziś, dla tych którzy dawno opuścili Kraj
chleb nie jest chlebem ani wino winem
choć nie ja jeden błądzę po manowcach.

Wojen nie wymyślili poeci ale ludzie czynu;
zjawily się z chęci władzy. Pamiętam
mój pierwszy krok, gdy wdziałem mundur
na francuskiej ziemi;
Moje wojenne drzewo zaowocowało
zniszczyli je zwycięzcy.

Są kraje które mają prawdziwe granice
pilnowane przez strażę.
Co żołnierze robią po służbie, nie wiem
nic mi do ludzkich sumień. Nie na wszystkich
krzyżach, krzyżują Chrystusa, nie wszyscy
wierni modlą się, klęcząc na kolanach;
każdy inaczej oddycha powietrzem świętości,
przekracza ukryte granice
zbawienia, jak błędny ognik pod naporem mgły.

W dzień chowam wiersz w szufladzie rozsądku
żyję, wśród zawiedzionej rzeszy emigrantów.
Wprawdzie nie jestem pracowity ale znoszę pracę;
uczę się, czytam, dodaję siebie do spisu
ludności, pomagam, jak mogę Ottawie.
Astronom w Darmstadzie odkrył nową gwiazdę
fakt sprawdzony przez innych uczonych.
Jej siła świetlna przewyższa o miliony
wydajność naszego słońca, a jej materia
objętości sześciennego cala, przeniesiona
na Ziemię, ważyłaby dwieście miliardów ton.
Dane te, którym sam nie wierzę
zaczerpnąłem z komunikatu owych naukowców.
Widocznie ich umysły są bardziej przestrzenne.
Oni żyją w Kosmosie
gdy my szukamy naszych miejsc na Ziemi.
Nie Kosmos mnie niepokoi ale Kraj
który powoli umiera pod sowieckim butem.

Wczoraj przegrałem potyczkę o wizę
Przedwczoraj brałem udział w przegranym pokoju
Dziś mieszkam kątem w Historii
rozpamiętuję nasze grobობranie
od Katynia po Narvik. Wkoło mnie
ludzie o szczęśliwych twarzach
w sklepach pełno zabawek dla dorosłych
na przystanku różowy tramwaj
gotowy zawieść mnie na ciche przedmieście
gdzie uśmiechnięte dziewczęta w pół nagich trykotach

sprzedają szczęście, słodsze od lodów.
Ale mój niepokój jest jak Everest
który wciąż rośnie, widocznie stracił pod nogami
grunt, z obawy o mnie. Może zauważył
że nie rzucam cienia, że moje słowo
nie zaowocuje.

Natykałem się w życiu obcego powietrza
 aż mnie dusi w gardle. Dziś nie wiem
 jaką flagą mam ozdobić dom.

Lubię starą i lubię nową.

Ubolewam nad życiem jak antyczny starzec
 zamieszkały w tutejszym Ogrodzie
 w kraju którego widnokrąg zadziwia mój wzrok.
 Ścieżki biegną w głąb drzew eukaliptusowych
 wyłożone białym kamieniem. Chciałbym
 urozmaicić ich wnętrza scenami
 moich wojennych snów.

Dotąd pisałem wiersze bukoliczne
 wybór był łatwy, tło: życie rodzinne;
 pogoń w mundurze od kraju do kraju
 ciepłe przygody nocą w uwolnionych miastach
 gdy zdałem broń,

odtworzyłem utracone konto: anonima.

Anioły opiekuńcze opuściły mnie
 nikt się nie spieszył z wyciągniętą dłonią
 mimo obietnic Królowej.

Nieliczni

emigrowali do kolorowych krajów.

Ja też wybrałem azyl.

Nie klęczałem przed żadnym ołtarzem
 Kapłanom Wschodu nie paliłem świec.

Kanossa, owszem czeka

my szyjemy worki, włókno jest mocne

przędziwo krajowe. Dla mnie

oliwną lampką jest wiersz Mickiewicza

choć „Oda do młodości”) zestarzała się

jej romantyczna broda sięga dziś do pasa

i nie jest moją odą.

Między jasnością dnia a ciemnym dnem nocy.

Mój Wawel czeka.

Tylem zaoszczędził, że do dziś wystarczy
pijąc źródlane wiersze Czechowicza
i sytą strofę Staffa, kłós nabrzmiały ziarnem;
patos Lechonia; wiersze Wierzyńskiego
w wiosennym blasku były, pamiętam jak wino.
Leśmian, również z mych stron, Lubelszczyzna
jak wiemy, to pępek polskości. Uśmiecha się
do mnie pod ciężarem Grobów stateczny Wawel.
Cicha Uherka, prząśniczka złotych wierzb
ich smutek w dzieciństwie fascynował mnie.

Piszę ten list do ziemi,
może go przeoczy lisi wzrok cenzora
tropiący agentów CIA. W bunkrze nad Mozą
słuchaliśmy podczas wojny pieśniarki z Andory.
Jej krystaliczny głos zadziwiał nas.
Niestety, okazało się potem że były to szyfry
agentki gestapo, o ruchach wojsk alianckich.
A śpiewała jak Lily Pons albo Lorelei
wśród skał pirenejskich. I komu tu wierzyć?
Sprawiedliwych dziś jak na lekarstwo.

Pokój. Rozjemcy podpisali zawieszenie broni.
 Gołąb Picassa rozwinął białe skrzydła.
 Armie poszły na przemiał. Zdałem mundur
 kwatermistrz kazał nasmarować broń
 by nie zardzewiała.
 Aliantom zrzędma mina.
 Ostatni Mojżesz spłonął w piecu.
 Nikt nie przyjmował zamówień na cuda.
 Ja kończyłem przedwojwny wiersz
 zaczęty u Rózi na Dobrej w Warszawie.
 Czas mnie nie naglił, nie spieszyłem się
 emigracyjną kwarantannę spędziłem w obozie
 o rzut kamienia od Salisbury
 i starej Katedry, pamiętajacej Druidów.
 Kamienne pomniki Stonehenge na Salisbury Plain
 zdecydowały o moim losie.
 Wuj z Kanady obiecał mi wizę.

Samotność, przyznam, dokuczała mi:
 w życiu doznałem więcej samotności
 niż niesamotności.
 Byłem sam pod Arromanche
 i pod Chambois, w polarnej nocy pod Narvikiem.
 Wśród bolesnych kanikuł przeszedłem sam
 przez Hiszpanię. Nikt mnie nie odwiedzał
 w lochach Gerony generała Franco. Na głowy
 więźniów spadały pluskwy, dokuczały
 karaluchy i spasionie szczury.
 Wyroki śmierci wykonywano nocą na więziennym
 placu: po serii strzałów, nie było nawet echa.
 Zabitych nikt nie żegnał.
 Rozstrzelanych grzebano pod murem
 wśród zdziczałych traw.

Miałem już w kieszeni dokument
mówiący że z honorem przeszedłem do cywila.
Pudełko pełne orderów, naszych
i zagranicznych. Ale wybór co robić był trudny.
Domy dla Bezdomych były przepelnione, czekaliśmy
w kolejkach przed Armią Zbawienia. Ci
co wrócili, śpiewali w arkadii
głośne antyfony, skierowane przeciwko nam
że nie pokonała mnie kula pod Narvikiem.
Przy zielonych stolikach toczyły się spory
ale nie w naszej sprawie. Nasz kwiat
paproci w tym roku nie zakwitł. Czerwiec
go ominął. W Toronto
znalazłem pracę
w rzeźni. Czas zatrzymał się nagle
zabijane zwierzęta przypominały mi
sceny spod Falaise. My, zwycięzcy
przeszliśmy wtedy po trupach Niemców
nakładając maski. Po rzeźni los
mi przydzielił biurko w Magistracie
z fotelem firmy Eaton. Wysiaduję
w nim różowe godziny, czekam na podwyżki
i bukiety pochwał. Magistrat, to stary
zamek lordów przeniesiony z Anglii
łechce turystów i nasze podniebienia.
W kolorowych oknach uśmiechają się
malowane lilie, zdają się pytać
czy jestem szczęśliwy; w korytarzach
kunsztowny barok, soczyste winogrona
zwisają z pękatych waz, pyzate twarze
aniołków; zapomniany dziś świat.
Męczą oczy sędziów w czarnych togach
trywialny znak że mamy do czynienia z prawem.
Wkoło adwokaci myszkuje za żerem.

Kanada.

W czterdziestym ósmym skorzystałem
z jej gościnności i dalej korzystam.

Dziś mam w domu radio, piję Wyborową
słucham płyt Szopena; czasem przyjdzie
zabłąkany wiersz. Wiem że przebył tysiące
mil, od kraju urodzenia, do kraju osiedlenia.

Zwiedzamy wspólnie polonijne getto
słuchamy dyskusji o zdradzie aliantów
czujemy się jak w domu wśród emigrantów
dźwigających z honorem narodowe garby
czekających na przydział orderów.

Wiem że kiedyś padną nasze oazy rycerskie
Domy Kombatantów z barami na pokaz, w których
pijemy po pracy kieliszek martwego wspomnienia.
Są z nami cienie z Burmy, piloci nocnych lotów
skoczowie spod Arnhem.

Rano chowam pod
poduszkę rozkrzyczany budzik, przerywam sen
znad Bystrzycy, gdzie
chyba teraz anioł śmierci stoi.

Wczoraj obchodziłem Narodowe Święto
ale moi sąsiedzi nie wierzą w symbole;
moja pamięć nie jest ich pamięcią. Zaproszeni
przyszli by dobrze zjeść i wypić
nęca ich pełne butelki i zastawiony stół
nie biało-czerwona Flaga.

Dziś sprzątam dom: zbieram puste butelki
ścieram brudne plamy. Obrus muszę oddać
do chemicznej pralni, wrócić mu dawną biel
jak wrześniową lunę.

Od jakiegokolwiek strony spojrzę
początek jest zawsze końcem, a koniec początkiem.

Słowo umiera nie z braku treści
ale z braku przyszłości. Niełatwe
miałem życie,

wszystko,

na co czekałem, zmarło przy porodzie.

Nie jestem poetą paradoksu i nie wierzę w cuda

Absurd rzucał mną od brzegu do brzegu.
Dziś żyję wschodem słońca nad jeziorem Ontario
i jego zachodem nad jeziorem Erie.
Tam jest już Ameryka. Amerykanie
wszystkim rzucają się w oczy
Nie dlatego że noszą lornetki Zeissa
po obu stronach, ani dla aparatów
japońskich na otyłych brzuchach
ale tylko dlatego że są Amerykanami.
Kremlin cały świat prowadzi dziś na smyczy
z wyjątkiem Stanów. Z czego zaś smycz
zależy od kraju. Nas prowadzi na naszych tykach
wraz z Czechosłowacją i bałkańską purchawką.
Francja woli jedwabny sznur, strusie północy
Skandynawowie, mają własne pęta. Anglia
jak zawsze skora do papierowych gestów.
Stany Zjednoczone noszą się wciąż dumnie
mimo zawiści karłów Europy. Mierzwi ich
szczodrość Jankeesów. Waszyngton
proszę mi wierzyć, to dziś ostatnia
deska ocalenia. Wiem że nikt mnie nie pasował
na obrońcę USA, nigdy nie byłem bohaterem
dnia, łatwo jednak odróżniam szczerłość
Waszyngtonu, od kłamstw Kremla.
Wierzę w liturgię Posągu Wolności.
Nie spałem na różach, jak powiedział
brazylijski poeta rodem z Portugalii
naturalizowany obywatel Stanów.
Umierałem dawkami, po trochu.
Nie liczyłem na łaskę Natury, na rękę
matki, która w naszym ogrodzie otulała
na jesieni róże by bezpiecznie przeżyły
do wiosny.
Po party czyszcę lichtarze
usuwam zimny wosk; śniedź niszczy srebro.
Od niepamiętnych lat lichtarze wożę ze sobą
choć nie są Arką Przymierza i bieg Historii
jest im obojętny. Powoli tracą blask.
Za oknem ekran nieba wyświetla Bliźnięta
widzę jak gwiazda spada w samobójczym pędzie
kukułka na zegarze wygłasza dwunastą;

nikt tak nie recytuje jak drewniany ptak.
Echo mu wierzy; wieżowcom płoną oczy.
Dzwonki tramwajowe cofają się w ciszę
Generatory w elektrowni nawijają prąd
na elektryczne szpule. Jeszcze tu i tam
elektryczne spięcie daje znać o sobie
ale dzień który minął nie wróci.

Gdy wkraczaliśmy do Oberlangen
na drutach obozowych nie było już trupów.
Kobiety wybiegały z otwartych baraków
podobne do „Wariatki z Chaillot”, Giraudoux.
Straż obozowa znikła z naczelnym katem
zaś sprawca wojny, Adolf, udusił się w bunkrze.
Kobiety z Oberlangen wróciły do swych domów
dziewczęta znalazły wśród żołnierzy mężów
zaś, ci w bunkrze, gryzą twardey cement.
W nas kwitł wtedy rozmaryn wolności
ja biegłem do mety, przez
Argentynę, Brazylię do Francji.
W Coëtquidan przejąłem wojenną pateczkę
w sztafecie do Norwegii; by ratować Francję.
Dziś na wybrzeżu powstało Miasto Śmierci
przez poległych. Każdego roku
głowy państw urządzają tam urzędową stypę
wagnerowski piknik z żałobnym marszem,
który lata temu napisał nasz Szopen.
Zebrani salutują, krzyże stoją na baczność.
Prezydent Francji otoczony swiłą
Królowa Anglii i Brytyjskiej Wspólnoty
Królewską, weterani, bezimienni goście.
Prezydent Francji przemawia w trzech naraz
językach, po nim chóry atakują ciszę
instrumentom z oczu płyną łzy
głośniki rozwijają skrzydła.
I mówi się tu o wszystkich, nawet
o sprawcach tej rzezi, ale nie o nas.
Choć byłem jednym z nich.

Dziś zadawała mnie dzisiejsza Beatrycze;
towarzyszy wiersz, odkurzacz papierowych
rocznic. Był ze mną na Finchley
gdy z poetą Sułkowskim utrwalaliśmy
wojenne sezony. Tadeusza wtedy widywałem
często, chodziliśmy na długie spacery.
Londyn był dla nas naszą barykadą.

Tadeusz chodząc notował słowa na skrawkach
papieru lub całe zdania
podarowane mu przez usłużną mużę.
Dom na Finchley zamieszkały przez Damy
i Pisarzy Dworu, był dla nas wylęgarnią snów.
Tu szlifowano wieczne pióra, rozwijano skrzydła.
Młodzi zwracali tęskne do Przybosia oczy
czekali na obiecane złote góry sławy.
Truizmem byłoby dziś że żyli Eliotem.
Radio po kolana grzęzło w propagandzie;

Amerykanie nastawiali głośniki w Monachium
werbowali chętnych do schlebiania Moskwie
sami bali się ruszyć tłustym palcem w buty.
Pocałunkom nie było końca
Roosevelt ścisnął Stalina, któremu
oddał nasz kraj w dożywotnią rentę.

Amerykanie w niczym nie mają umiaru.
Ich tłuste cadillaki pokryły
drogi Francji, autostrady Niemiec.

Handel na czarnym rynku wolności trwa!

W czterdziestym ósmym opuściłem armię.
Na pytanie, gdzie chciałbym zamieszkać
sugerujące mi krajowe obozy
wybrałem państwo z tysiąca i jednej nocy
czyli USA. Ale urzędnicy Jankesów
grymasili, pusty ich kraj bał się
przeludnienia, musiałbym czekać
zanim ktoś u nich umrze lub zmieni się
prawo. Odpowiedziałem na apel Bewena
przysłaną mi wizą z Kanady.

Myslałem o malowniczym na starość ustroniu
otrzymałem miasto-mrowisko i życie na klęczkach.
Przyspieszona starość, obfitość pogrzebów.
Śmierć kombatanta to dla mnie historyczne święto.
Powód do zbiorowej manifestacji
której sens nabiera życia.
Śmierć ma we mnie cichego wielbiciela
z otuchą chodzę na pogrzeby Towarzyszy Broni
mam dla nich zawsze jasną górę słów
i błękit jeziora w klonowym ornacie.

Nie ukończono dotąd wieży Babel.
Zabrakło szczytu. Zrabowano piętro
Tam miała być służebna Komnata
Rodzinny Zbór z chórem gregoriańskim
Jaki słyszałem ongiś w Wąwolnicy.
Przy akompaniamencie sławnych tutejszych organów.
Pająk zaciąga sieć z różowej włóczki
Z podobnej szyto kiedyś królewskie makaty
Dziś, jeśli odwiedzisz kraj
Nie stać cię będzie na podanie ręki.

SPIS WIERSZY

<i>Rok 1939</i>	9
<i>Wiem i nie wiem</i>	11
<i>Każdy z nas nosi w sobie załączki wielkości</i>	12
<i>Czapski</i>	16
<i>Co jeszcze mogę powiedzieć o Józefie Czapskim</i>	18
<i>Idąc Krakowskim Przedmieściem w marcu 1991 roku</i>	20
<i>Między przeszłością a teraźniejszością</i>	23
<i>Wiersz dla Ewy Lipskiej</i>	24
<i>Kto może mnie zapewnić</i>	25
<i>Pó co było uciekać z Egiptu</i>	27
<i>Bezkrólewie</i>	28
<i>Podzwonne</i>	29
<i>W sprzyjających okolicznościach</i>	30
<i>Bukolik</i>	31
<i>Rodzinne kłopoty</i>	32
<i>Wiersz dla Pawła Mayewskiego</i>	33
<i>Tytanik</i>	34
<i>Wiosna 1990</i>	35
<i>Wiersz dla strzelca K. z Brygady Podhalańskiej</i>	36
<i>Młodzi poeci Ameryki</i>	37
<i>Zwięzłe zdania są jak struny harfy</i>	38
<i>Emigracyjne dusze wracają do kraju</i>	39
<i>Welcome</i>	40
<i>Do róży</i>	43
<i>Błogostawieni</i>	44

<i>Pro Domo Sua</i>	45
<i>W resorcie Kameleonów</i>	46
<i>Przewaga słońca</i>	47
<i>Żyję jak śmierć zakochana w sobie</i>	48
<i>Antywiersz czyli rozmowy polonijne</i>	49
<i>Wieża śmierci w Toronto</i>	50
<i>Trzeci listopada, w Toronto</i>	51
<i>Kończy się moje Stulecie</i>	52
<i>Pewność</i>	55
<i>Moment</i>	56
<i>Z każdym dniem</i>	57
Od Autora	59
SCENY WOJENNE	61



POMOS
OFICyna WYDAWNICZA

WARSZAWA 94

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001017373942